

Mirosław Rybaczewski



Siatkarz, Złoty Medalista z Igrzysk Olimpijskich w Montrealu w 1976 r.

Urodzony 8 lipca 1952 w Warszawie „chłopak z Falenicy”, absolwent olsztyńskiej Akademii Rolniczo-Technicznej, gdzie otrzymał tytuł magistra inż. rolnika, siatkarz, wychowanek MKS MDK Warszawa 1968-1971 (trener Maciej Dehnel), ale wszystkie krajowe siatkarskie zaszczyty zdobył w olsztyńskim AZS 1972-1982 (trener Leszek Dorosz), gdzie grali też m. in. Lubiejewski, Iwaniak, Zduńczyk.

OSIĄGNIĘCIA SPORTOWE

Reprezentował barwy klubowe: MKS MDK Warszawa (1968-1971) - wychowanek, AZS Olsztyn (1972-1982)

Mistrz Polski (1973, 1976, 1978) z AZS Olsztyn

Wicemistrz Polski (1974, 1977, 1980) z AZS Olsztyn

Mistrzostwa Polski (1975, 1982) - zajął 3. miejsce z AZS Olsztyn

Puchar Polski (1972, 1982) z AZS Olsztyn

Finał PEZP w sezonie 1977/78 - zajął 2. miejsce z AZS Olsztyn

167-krotny reprezentant Polski (1973-1980)

Mistrzostwa Europy Juniorów, Barcelona (1971) - zajmuje 2. miejsce

Puchar Świata, Praga (1973) - zajął 2. miejsce, Tokio (1977) - zajmuje 4. miejsce

Mistrzostwa Europy, Belgrad (1975) - zajął 2. miejsce

Mistrzostwa Świata, Meksyk (1974) - zajął 1. miejsce

Igrzyska Olimpijskie w Montrealu w 1976 r. – Złoto olimpijskie

PRZEBIEG KARIERY TRENERSKIEJ:

Trener ASBF Tuluza

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA:

Najlepszy siatkarz Polski w klasyfikacji „Przeglądu Sportowego” w 1976

Najlepszy siatkarz w historii AZS-u Olsztyn

Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi

Odznaczony dwukrotnie złotym Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe

UWAGI:

Anna Rybaczewski (córka), jest siatkarką, reprezentantką Francji, pełni funkcję kapitana drużyny

PRZEBIEG IGRZYSK OLIMPIJSKICH W MONTREALU W 1976

W 1976 r. polscy siatkarze odnieśli największy sukces w historii, do którego w pozostałych siedmiu olimpijskich startach nawet się nie zbliżyli. Do dzisiaj złoty medal słynnej drużyny Wagnera pozostał jedynym krążkiem wywalczonym przez polskich siatkarzy w igrzyskach.

„Wszyscy oszaleli! To co wydawało się niemożliwe, graniczące z cudem – stało się radosnym faktem. Polscy siatkarze w finałowym meczu igrzysk olimpijskich w Montrealu pokonali faworytów ze Związku Radzieckiego. Całe Forum oszalało, wszyscy dostawali bzika, najbardziej zwariowani byli jednak ci, którzy porwali się w Montrealu na złoty medal oraz ich tyran, człowiek nie znający litości dla siebie i dla tych młodych mężczyzn znad Odry i Wisły. On Hubert Jerzy Wagner”.

Trudno dzisiaj, po 43 latach dziwić się wielkiej radości korespondenta „Przeglądu Sportowego” Lecha Cergowskiego. Bo choć Wagner przed wylotem do Monachium obiecał złoty medal, to mało kto mu wtedy wierzył. Uznano to za bufonadę ekscentrycznego szkoleniowca, który nie unikał ani ostrych słów, ani kontrowersyjnych decyzji. Owszem Polacy byli wtedy mistrzami świata z Meksyku, ale igrzyska olimpijskie, to przecież zupełnie inna bajka. Choć w przypadku drużyny Wagnera należy raczej mówić o dreszczowcu. Pierwszy siatkarze zafundowali kibicom na początku turnieju. Po godzinie inauguracyjnego meczu z Koreą Płd. było 2:0 w setach i 6:5 w trzeciej partii dla rywali, którzy nie należeli przecież do potentatów. Potem biało-czerwoni wrzucili jednak piąty bieg, zdobywając 10 „oczek” z rzędu. Ostatnie sety wygrali gładko 15:6 i 15:5 (wówczas grało się na przewagi i do 15 punktów). W trzecim meczu turnieju przeciwko Kubie finisz nie był już tak łatwy, a polscy siatkarze zafundowali kibicom

dreszczowiec, którego nie powstydziliby się sam mistrz gatunku Alfred Hitchcock. Polacy znowu przegrali dwa pierwsze sety i znowu musieli odrabiać straty. Oddajmy głos Krzysztofowi Mecnerowi, który tak opisuje to wydarzenie w książce „Historia siatkówki – igrzyska olimpijskie”: „Set piąty rozgrzał publiczność do białości. Walka toczy się punkt za punkt, Polacy mają meczbole ale rywale wielokrotnie je bronią. Przy wyniku 15:14 Kubańczycy uderzają gdzieś w końcową linię, sędzia Ramis Samedow pokazuje, że to koniec meczu i nasi wykonują taniec radości. Za moment jednak po sygnalizacji liniowego arbitra zmienia decyzję i nakazuje grać dalej. Coś niewiarygodnego! Chwilę później jest już 18:17 dla Kuby i to rywale mają meczbola. Wójtowicz uderza w końcową linię, Samedow się waha, ale ostatecznie przyznaje punkt Polsce. Nasi wyrównują i po chwili wygrywają 20:18”.

W pozostałych meczach grupowych zespół Wagnera pokonał 3:1 Czechosłowację, a wcześniej 3:0 słabą Kanadę. Spotkanie z Kanadyjczykami było zresztą jedynym meczem w turnieju, w którym biało-czerwoni wygrali pierwszego seta! W pięciu pozostałych potyczkach późniejsi mistrzowie olimpijscy musieli odrabiać straty, cztery razy wygrywali mecze po 3:2. Ale to nie była niespodzianka, bo już dwa lata wcześniej zespół Wagnera okrzyknięto mistrzami piątego seta. Kiedy inni przeciwnicy ślaniali się na nogach, Polacy dopiero łapali drugi oddech. – Zabijaliśmy wszystkich kondycją, ale trudno się temu dziwić, skoro Wagner aplikował nam dawkę treningową godną Herkulesa. I kiedy przychodziło do piątego seta, nikt nam nie mógł podskoczyć – śmieje się Zbigniew Zarzycki.

W olimpijskim półfinale nie podskoczyli Polakom Japończycy, obrońcy tytułu z Monachium. A potem, 31 lipca 1976 roku o godzinie 2.30 czasu polskiego, rozpoczął się olimpijski finał, który tak opisywał Krzysztof Mecner: „Po trzech setach podopieczni Jurija Czesnokowa prowadzą 2:1. Czwarta partia jest niesamowita. Polska prowadzi 14:12, ma setbole, ale rywale nie dają za wygraną. Wyrównują. Za moment ZSRR ma meczbola przy wyniku 15:14, potem drugiego. Polakom nie drży jednak ręka w ataku. Drży za to znakomitemu Czernyszewowi, który dwa razy uderza w aut i to jest decydujący moment seta”.

Oba zespoły stanęły do decydującej partii, ale to Polacy byli przecież mistrzami piątego seta. Nic to, że partia rozpoczyna się od prowadzenia Rosjan 4:0. Biało-czerwoni wyrównują na 7:7, a potem nie oddają rywalom już żadnego punktu, wprawiając w osłupienie Rosjan i cały siatkarski świat! (www.przegladsportowy.pl).